



MEANDER

ROK LXXIX 2024: s. 235–258
ISSN 0025-6285
DOI: 10.24425/meander.2024.152496

ADAM ŁUKASZEWICZ
ORCID: 0000-0002-9952-0254
e-mail: adam.lukaszewicz@adm.uw.edu.pl
Wydział Archeologii, Uniwersytet Warszawski

ANDRZEJ GILLMEISTER
ORCID: 0000-0001-9675-0436
e-mail: a.gillmeister@ih.uz.zgora.pl
Zakład Archeologii i Historii Starożytnej, Uniwersytet Zielonogórski

ADRIAN SZOPA
ORCID: 0000-0001-7735-7145
e-mail: adrian.szopa@uken.krakow.pl
Instytut Historii i Archiwistyki, Uniwersytet Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie

W STRONĘ UNIwersYTETU. Z PROFESOREM ADAMEM ŁUKASZEWICZEM ROZMAWIAJĄ ANDRZEJ GILLMEISTER I ADRIAN SZOPA*

TOWARDS UNIVERSITY. ANDRZEJ GILLMEISTER AND ADRIAN SZOPA IN CONVERSATION WITH PROF. ADAM ŁUKASZEWICZ

* Podstawą tego tekstu jest część wywiadu z prof. Adamem Łukaszewiczem przeprowadzonego przez Adriana Szopę i Andrzeja Gillmeistera. Rozmowa powstała w ramach cyklu „Rozmowy z Mistrzem” Ośrodka Dokumentacji Filmowej Nauki Polskiej Uniwersytetu Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie oraz Stowarzyszenia Historyków Starożytności. Całość rozmowy jest dostępna w Archiwum Historii Mówionej: <http://stowarzyszeniehistorzykowstarozytnosci.edu.pl/portfolio/adam-lukaszewicz/>. Fotografie zamieszczone w artykule pochodzą z archiwum prof. Adama Łukaszewicza.



Ten utwór jest dostępny na warunkach licencji Creative Commons Uznanie autorstwa 4.0 Międzynarodowe (CC BY 4.0), która umożliwia nieograniczone korzystanie, rozpowszechnianie i kopiowanie utworu pod warunkiem odpowiedniego oznaczenia autora i źródła. Zob. <https://creativecommons.org/licenses/by/4.0/deed.pl>

Streszczenie: Rozmowa z profesorem Adamem Łukaszewiczem, znakomitym archeologiem śródziemnomorskim i papirologiem, o jego domu rodzinnym, studiach w Uniwersytecie Warszawskim i wyborze ścieżki akademickiej.

Słowa kluczowe: Adam Łukaszewicz; archeologia; papirologia; Egipt hellenistyczny; Uniwersytet Warszawski; badania nad starożytnością w Polsce

Summary: An interview with Professor Adam Łukaszewicz, an eminent archaeologist and papyrologist, about his childhood home, his studies at the University of Warsaw and the process of choosing his academic path.

Keywords: Adam Łukaszewicz; archaeology; papyrology; Hellenistic Egypt; University of Warsaw; Classics in Poland

Panie Profesorze, bardzo proszę opisać swoje dzieciństwo i dom rodzinny.

Proszę panów, myślę, że jeżeli mamy sięgać tak daleko w przeszłość, to może warto zacząć od przypomnienia pewnego momentu. W roku chyba 1990 jeden z młodszych kolegów powiedział do mnie, że właściwie całe moje dotychczasowe życie upłynęło w nienormalnych warunkach. Odpowiedziałem: ma pan rację. Pomyślałem wtedy: rzeczywiście, wychowałem się w niezamożnej rodzinie i w niełatwych czasach. Kiedy byłem małym dzieckiem, obowiązywały w Polsce kartki żywnościowe (wróciły w późniejszym okresie). Kiedyś mama powiedziała, że na kolację będzie szynka. Ja na to oznajmiłem:

– Wiem. Szynka to jest taka mała szyna tramwajowa.

Zastanawiając się nieco później nad refleksyjnym stwierdzeniem kolegi, doszedłem jednak do wniosku, że takie podsumowanie mojej młodości byłoby trochę niesprawiedliwe wobec tych, którzy tak jak moi rodzice bardzo się starali o to, żebym żył w normalnych warunkach.

Urodziłem się w kilka lat po wojnie w Warszawie, bardzo zniszczonej. Przyszedłem na świat w 1950 roku w śródmiejskim szpitalu przy ulicy Lindleya, a dookoła było pełno ruin. Domem rodzinnym było mieszkanie moich rodziców na Pradze, która wtedy była chyba najbardziej mieszkalnym miejscem w Warszawie, gdzie wszystko było jak dawniej, gdzie były gazowe latarnie dwóch różnych typów, bruk na ulicy, żelazne kosze na koks dla ogrzania zimą przechodniów (po wojnie puste), przedwojenne szyby w oknach, które jakimś cudem nie powypadały w czasie wojny. Oczywiście tam też liczne domy były postrzelane zarówno



Adaś Łukaszewicz, 1952 r.

w 1939, jak i w 1944 roku. Mój ojciec mieszkał tam od roku 1941, kiedy musiał opuścić mieszkanie na Mokotowie w wyniku rozszerzania dzielnicy niemieckiej. Szukał wtedy jakiegoś w miarę niedrogiego lokum i znalazł je po drugiej stronie Wisły, co okazało się zbawienne, bo kiedy poszedł stamtąd do powstania w 1944 roku, to po powrocie w 1945 znalazł mieszkanie nienaruszone. Tam można było normalnie mieszkać i tam się wychowywałem aż do pierwszego roku studiów. Warunki lokalowe były bardzo skromne, bo to było nieduże mieszkanie na trzecim piętrze kamienicy z 1938 roku, zresztą przyzwoitej i ładnej, prawie nienaruszonej przez wojnę, ale metrażowo to mieszkanie było naprawdę małe. Tam po wojnie mieszkali moi rodzice. Jestem ich jedynym dzieckiem.



Dom z czasów dzieciństwa i młodości przy ul. Stalowej 15 (widok obecny)

Można jeszcze powiedzieć, że w jakimś stopniu dom rodzinny to był też dom moich dziadków ze strony mamy. Ojciec był warszawiakiem, z czego był bardzo dumny, przywiązując do swojej warszawskości o wiele większą wagę niż do kresowych przodków. Rodzice ojca zmarli przed moim urodzeniem, babcia jeszcze przed wojną, dziadek w czasie okupacji. Babcia była rodowitą warszawianką. Jej brat był kawalerzystą w Legionach. Dziadek urodził się w okolicach Baranowicz w województwie nowogródzkim na krótko przed powstaniem styczniowym, w którym zresztą brali udział jego krewni. Jego rodzina od bardzo dawna mieszkała zarówno w województwie nowogródzkim i trockim, jak i w Wilnie. Mama natomiast urodziła się we wsi Borkowo-Falenta w powiecie przasnyskim, około 120 kilometrów na północ od Warszawy. Codzienną drogę do szkoły (dwanaście

kilometrów w jedną stronę) odbywała na rowerze. Jej ojciec był wykwalifikowanym ogrodnikiem, pszczelarzem, osobą o bardzo różnych i szerokich zamiłowaniach, obejmujących także historię oraz lokalną etnografię. Był synem powstańca 1863 roku. W młodości brał udział w wojnie 1920 roku i w latach 1919–1921 przeszedł cały szlak bojowy 33 pułku piechoty. Babcia też pochodziła z rodziny mazowieckiej, ale rodzinne koneksje, które dobrze znała, zupełnie mnie w dzieciństwie nie interesowały.

W Borkowie spędzałem wakacje i w ogóle dużo czasu w dzieciństwie, zwłaszcza w okresie przed pójściem do szkoły. Tam też czytałem z ogromnym upodobaniem książki dziadka dotyczące rolnictwa, pszczół, kwiatów i roślin. To była moja ogromna pasja w dzieciństwie. Przy domu był sad z zapomnianymi dzisiaj odmianami owoców (kto dziś pamięta jabłka reńskie, śliwki różówki, gruszki bergamutki; kto wie, że jabłka nazywane mylnie papierówkami to w rzeczywistości jabłka inflanckie, najsmaczniejsze prosto z drzewa, a prawdziwe papierówki wyglądały i smakowały zupełnie inaczej, tylko już ich od dawna nigdzie nie ma?), olszyna ze źródłem i ogromnymi paprociami, a ponadto otoczona drzewami, bardzo urozmaicona i wyjątkowo piękna, choć niewielka, łąka o przedziwnej nazwie Lężaj. W latach szkolnych myślałem, że ta nazwa wzięła się stąd, że się tam coś lęgnie. Moje znacznie późniejsze rozważania o niektórych nazwach na północnym Mazowszu, sąsiadującym z Prusami, nasuwających niekiedy skojarzenia bałtyjskie, przypominały mi Lężaj. Dodajmy jeszcze, że przed piastowską kolonizacją północnego Mazowsza plemiona bałtyjskie sięgały dość daleko na południe. Nazwa „Lężaj” brzmi podobnie jak pruskie czy litewskie określenie łąki *lenge* albo *lenke*. Oczywiście wyrazy te są blisko spokrewnione z naszym „łęgciem” i „łąką” – ale czy „lężaj” mógł powstać wprost z „łęgu”? Nie znam argumentów na rzecz poglądu, że wyraz „lężaj” jest dawnym określeniem legowiska czy pastwiska, pobrzmiwającym w nazwie Leżajsk. W każdym razie nie znam żadnego innego Lężaju niż wspomniany powyżej i nie spotkałem się z użyciem wyrazu „lężaj” jako rzeczownika pospolitego określającego łąkę. W Lężaju obserwowałem ptaki i przyglądałem się roślinom. Kontakt z przyrodą odegrał bardzo dużą rolę we wczesnych latach mojego życia, a upodobanie do roślin i zwierząt oraz skłonność do zachwyty nad krajobrazem i zjawiskami na niebie pozostały mi na zawsze. Bardzo często i dość daleko chodziłem po okolicy. Największy niepokój moich dziadków i niani, pani Anieli Smoleńskiej, budziły moje piesze wyprawy w stronę Rzęgnowa, na górę Czubak, gdzie na wystawionej na letnie słońce porębie roślinność budziła jakieś stepowe skojarzenia.

Ale w tamtej pięknej okolicy było też piętno wojny, ślady walk w 1939 roku i obecności niemieckiego okupanta, rozrzucone po polach i lasach niewypały oraz złom pochodzenia wojennego. W czasie okupacji moi dziadkowie wraz z moją mamą i jej siostrą zostali wysiedleni, podobnie jak niektórzy członkowie dalszej rodziny. Brat dziadka zginął w 1940 roku w niemieckim obozie w Dachau, a jego dzieci wysłano do pracy przymusowej. Część rodziny mojej mamy mieszkała w Warszawie. Osiedli tam na długo przed wojną. Były to ciekawe postacie. Jeden z braci mojej babci w czasie okupacji niemieckiej położył wielkie zasługi na rzecz warszawskich tajnych drukarni Armii Krajowej (nosił pseudonim „Sebastian”). Jego córki brały czynny udział w powstaniu warszawskim w szeregach AK. Inny brat babci pracował do wybuchu wojny w zakładach lotniczych PZL w Warszawie. Jego jedyny syn, głuchoniemy, aresztowany przez Niemców w przeddzień powstania, został wkrótce przez nich rozstrzelany.

Moja matka z rodzicami przebywała w czasie okupacji na obszarze Mazowsza przyłączonym do Rzeszy i żeby czasem dotrzeć do krewnych w Warszawie, zwłaszcza do jednej z sióstr, musiała z narażeniem życia potajemnie przekraczać strzeżoną okupacyjną granicę. Niewiele o tym mówiła, ale wiem, że wykazywała się wielką odwagą, podobnie jak 18 stycznia 1945 roku, kiedy po łodzi przeszła przez Wisłę, żeby dotrzeć na Trębacką do ruin domu swojej ciotki, a na Koszykowej znaleźć cudem ocalałe mieszkanie swojego wuja.

Wspólną cechą tego rodzinnego środowiska był patriotyzm oraz szacunek dla pracy i wiedzy.

Nie chodziłem do przedszkola, nie miałem rodzeństwa, wobec tego kontakt z rówieśnikami był dosyć nieregularny i dotyczył głównie moich kuzynów w podobnym wieku. Dlatego pójście do szkoły to był bardzo duży wstrząs, całkowita zmiana środowiska. Poszedłem do szkoły podstawowej nr 44 jako siedmioletnie dziecko umiejące dobrze pisać i czytać. Nie nadawałem się do pierwszej klasy, więc przeniesiono mnie od razu do drugiej. Tam chyba lepiej się zaadaptowałem, i tyle mogę powiedzieć o tych wczesnych latach.



Pierwsze dni szkolne, 1957 r. Zwraca uwagę obowiązkowy fartuszek oraz worek z kapiami

Czy rodzice byli odpowiedzialni w jakikolwiek sposób za narodziny późniejszej pasji Pana Profesora? Mówił Pan Profesor o roli dziadka, roli przyrody. Gdzie tu starożytność?

Mój ojciec nie był starożytnikiem, podobnie mama. Ojciec był pracownikiem bankowym, a mama pracowała w spółdzielczości, w spółdzielni pracy, w której zajmowano się poligrafia i tłumaczeniami z języków obcych i na języki obce. Spółdzielnia pracy to jest powoli odchodząca dzisiaj w zapomnienie tradycyjna forma przedsiębiorczości uspołecznionej. Ojciec był absolwentem bardzo dobrego, nowoczesnego warszawskiego gimnazjum im. Jenerała Sowińskiego. Gimnazjum to była wówczas (do 1932 roku) ośmioklasowa szkoła średnia, która kończyła się maturą. Niektórzy nauczyciele byli także pracownikami akademickimi, potem niekiedy znanymi uczonymi (na przykład Bohdan Suchodolski czy Kazimierz Zarankiewicz). Dyrektor, doktor Emanuel Łoziński (szambelan papieski!) był

znawcą epoki oświecenia, autorem książki *Idee społeczne doby stanisławowskiej*, a ponadto wielbicielem Norwida, co wtedy nie było powszechne. Szkoła ta (liceum) istnieje do dzisiaj w tym samym budynku na Woli, niedawno obchodziła stulecie istnienia, ale „generała” w nazwie zmieniono na „generała” i nie jest to już, jak przed wojną, Pierwsze Gimnazjum Miejskie. Nie wiem, czy ma jeszcze, jak niegdyś, obserwatorium astronomiczne i własny ośrodek „zielonej szkoły” poza Warszawą. Następnie ojciec studiował na Wydziale Konsularnym Szkoły Głównej Handlowej, która wtedy nosiła jeszcze nazwę Wyższej Szkoły Handlowej. Ale zarówno to matematyczno-przyrodnicze gimnazjum, jak i studia w handlowej uczelni oferowały też bardzo dużą dawkę wykształcenia humanistycznego i dlatego mój ojciec był humanistą, to znaczy kimś, kto posiada szeroką wiedzę z zakresu nauk humanistycznych i ogólną erudycję. Miał między innymi znakomitą orientację w dziejach twórczości muzycznej. W młodości uprawiał różne dyscypliny sportu, miał Państwową Odznakę Sportową. Jeśli chodzi o starożytność, to on właśnie, kiedy miałem pięć czy sześć lat, czytał mi *Odyseję* w przekładzie Jana Parandowskiego, *Mitologię* tegoż i ustępy rozmaitych książek dotyczących starożytności oraz opowiadał mi na przykład o starożytnym Egipcie, o piramidach i o tym podobnych rzeczach, co bardzo działało na moją wyobraźnię. Od niego też poznałem pierwsze elementy łaciny w postaci na przykład cytatów z *Metamorfoz* Owidiusza czy z poezji Horacego. Nigdy też nie zapomnę wspólnej wizyty w Muzeum Narodowym i posągu lwiegłowej egipskiej bogini umieszczonego w tajemniczym półmroku. To wczesne zainteresowanie starożytnością jako tajemniczym aspektem świata było częścią mojej wyobraźni, ale oczywiście nie zapowiadało jeszcze, że się tym będę kiedyś zajmował zawodowo.

Muszę także powiedzieć, że mojemu wczesnemu zainteresowaniu antykiem nie sprzyjała edukacja szkolna. W szkole podstawowej prawie nie było starożytności. Pewne elementy wyobrażeń o świecie starożytnym niosła ze sobą nauka religii. Religia wtedy była przedmiotem nauczonym w szkole i pamiętam sympatyczną młodą katechetkę, zakonnice, która nam objaśniała w sposób właściwy dla edukacji podstawowej biblijne stworzenie świata w sposób alegoryczny i, można powiedzieć, racjonalny. W historii, której nauczanie zaczęło się chyba w piątej klasie szkoły podstawowej, historia starożytna odgrywała rolę zupełnie marginesową, o ile w ogóle była obecna w podręczniku. Nie przypominam sobie już w tej chwili treści tego podręcznika, ale moją stopniowo rosnącą, wstępną wiedzę o starożytności czerpałem przede wszystkim z własnych lektur, zwłaszcza że w domu było dużo książek. Dobór książek zapewniony przez moich rodziców mimo, tak jak powiedziałem, skromnych warunków mieszkaniowych był w zupełności wystarczający¹. Nie brakowało też książek w językach obcych. Było tam przede wszystkim miejsce dla książek, których tematyka obracała się wokół zagadnień historycznych. Moi rodzice dość wcześnie zauważyli, że mnie interesuje przede wszystkim historia. Elementy wiedzy o starożytności pojawiły się w nauczaniu szkolnym w liceum, ale to też pozostawało w tyle za tym, co już wiedziałem z własnych lektur.

¹ Zob. A. Łukaszewicz, *Vitalis the Fox. Remarks on the Early Reading Experience of a Future Historian of Antiquity in Poland (1950s–1960s)*, [w:] *Our Mythical Childhood... The Classics and Literature for Children and Young Adults*, oprac. K. Marciniak, Brill, Leiden – Boston 2016, s. 201–207.

Nie mogę nie wspomnieć o wielkim przeżyciu, jakim była wczesna lektura *Faraona* Prusa. Przeżywanie tej genialnej powieści miało doniosłe konsekwencje dla moich późniejszych zainteresowań i dalszych lektur². Pamiętam też różne dobre książki dla młodzieży o starożytności klasycznej; przykładem niech będzie *Diossos* Witolda Makowieckiego. Bardziej niż inne powieści o czasach starożytnego Rzymu przemówiła do mnie czytana w wieku dwunastu lat i wiele razy potem nadzwyczajna *Nasza Pani Radosna* Władysława Zambrzyckiego³.

Na długo przed powszechnym ostatnio wśród dzieci zainteresowaniem dinozaurami interesowała mnie w dzieciństwie paleontologia, czytałem książki takie jak *Z pradziejów życia* czeskiego paleontologa Josefa Augusty czy *Plutonia* Władymira Obruczewa, a także znakomitą powieść Artura Conana Doyle'a *Świat zaginiony*.



Idylla w Borkowie w ogrodzie dziadka

² Na temat genezy, treści i znaczenia tej powieści zob. id., *O Faraonie Bolesława Prusa – starożytny Egipt i kontekst polski*, Pamiętnik Literacki 108, 2017, nr 2, s. 27–53 oraz id., *Spojrzenie na starożytny Egipt z XIX-wiecznej Warszawy. Na marginesie nowego wydania Faraona Bolesława Prusa*, Meander 72, 2017, s. 67–99.

³ Zob. id., *The Last Days of Pompeii in a Forgotten Novel by Władysław Zambrzycki*, [w:] *Studies on Disasters, Catastrophes and the Ends of the World*, oprac. J. Popielska-Grzybowska, J. Iwaszczyk, Pułtusk Academy of Humanities, Pułtusk 2013 (Acta Archaeologica Pułtuskiensia 4), s. 185–189.

Czy poza wspomnianą katechetką jakiś nauczyciel ze szkoły podstawowej i średniej wpłynęli na dalsze wybory Pana Profesora?

Ta katechetka to tylko luźne wspomnienie chyba jedynej osoby, która w początkowym okresie szkoły podstawowej powiedziała uczniom cokolwiek o bardzo odległej przeszłości. Jak wspomniałem, mówiła o stworzeniu świata. Potem zastąpił ją ksiądz i siłą rzeczy, opowiadając wybrane epizody ze Starego i Nowego Testamentu, przekazywał też jakieś niewielkie fragmenty obrazu starożytności. Nie umiem powiedzieć, czy to miało znaczący wpływ na moje dalsze zainteresowania. Później religia została przeniesiona ze szkoły do kościoła.

Jeśli chodzi o nauczycieli ze szkoły podstawowej, to niektóre postacie utkwily mi bardzo w pamięci, chociaż bez związku z historią starożytną. Należał do nich nauczyciel matematyki w klasie drugiej, może i trzeciej, pan Baszkiewicz, który był postacią fascynującą, ponieważ nosił binokle, i to chyba autentyczne, zapewne sprzed pierwszej wojny światowej. Był to starszy pan, bardzo miły. Polonistce, pani Łapińskiej, bardzo się podobał mój zeszyt i mój sposób pisania. (Pisało się oczywiście piórem ze stalówką w obsadce, maczanym w kałamarzu). Zapamiętałem to wyróżnienie z drugiej klasy jako swego rodzaju pozytywny szok. To wszystko miało dla mnie ogromne znaczenie, bo szkoła była jednak *terra incognita* po okresie przedszkolnym spędzonym w środowisku domowym. Można by mówić o różnych osobach z ciała pedagogicznego szkoły podstawowej, które zapamiętałem pozytywnie. Nawet pana od robót ręcznych, który był kulturalnym, miłym człowiekiem.

Naszą wychowawczynię, młodą nauczycielkę, panią Zofię Kuligowską, też ciepło wspominam jako osobę życzliwą i sympatyczną. Pani ta miała zwyczaj wtrącania wyrazu „niestety” do wielu zdań, które wypowiadała. W związku z tym kiedyś na lekcji historii, bo prowadziła także ten przedmiot, wygłosiła pamiętne zdanie: „niestety Leninowi udało się dokonać rewolucji”, co ja z radością powtórzyłem w domu i przeszło to do rodzinnych anegdot. Warto jeszcze dodać, że nauczycielka geografii, pani Motylińska (nieco później wyszła za mąż i zmieniła nazwisko), zamiast opowiadać o pradolinach i zagłębieniach niekiedy czytała nam na lekcji uroczę przedwojenne książki dla dzieci. Z podobnym uznaniem wspominam kierownika szkoły podstawowej, nauczyciela matematyki, który nie tylko nauczał tego przedmiotu w sposób przyjemny i daleki od rygoryzmu, ale urządził w szkole improwizowane kino, gdzie w czasie przeznaczonym na lekcje nieraz oglądaliśmy dobrze wybrane i ciekawe filmy. Mówię o tym nie bez ukrytej myśli. Powodzenie działalności pedagogicznej nie zależy od ilości godzin dydaktycznych ani od skrupulatnego wykonywania martwego programu i drętowego przekazywania „treści”. Nic z tego nie wyniknie, jeśli uczniowie i studenci nie będą kojarzyli nauki z przyjemnymi doznaniem. *Nil tam facile, quin difficile fiat, si invitus faciat*. Poza tym nie jest tak, że każdego można wszystkiego nauczyć i że zależy to głównie od pedagoga.

Ciekawym zjawiskiem była nauka języków obcych. Normalnie zaczynała się w piątej klasie szkoły podstawowej od języka rosyjskiego. Ale w klasie czwartej pojawiła się możliwość uczenia na lekcje innego języka. Do wyboru był angielski lub niemiecki. Ja się chciałem uczyć niemieckiego. Znalazłem się w zdecydowanej mniejszości. W tamtym czasie, jeszcze nie tak dalekim od wojny, to raczej angielski bardziej przemawiał do wszystkich.

Na angielski zapisało się bardzo wiele osób. Przyszła do szkoły pani Drzewiecka, która była rodem z Gdańska i pochodziła z hanzeatyckiej rodziny niemieckiej, ale miała także przodków irlandzkich i angielskich, a w domu używało się obu języków. Mieszkała z mężem Polakiem w Warszawie od 1935 roku, pamiętnego roku pogrzebu Marszałka Piłsudskiego, z którym zresztą jej małżonka łączyły pewne związki rodzinne. Była to nadzwyczaj interesująca postać, która miała na mnie niemały wpływ. Zatem od czwartej klasy uczyłem się angielskiego. Później pojawiła się inna nauczycielka, a ja po jakimś czasie wróciłem do tej pani z czwartej klasy już na zasadzie indywidualnych lekcji. To się później przekształciło w bardzo przyjacielski kontakt między moją matką a tą panią. Lekcje angielskiego przerodziły się we wspólne czytanie literatury. Państwo Drzewieccy w niewielkim mieszkaniu mieli imponującą bibliotekę, księgozbiór męża, w którym była wielka literatura, nie tylko angielska, ale francuska i niemiecka. Dzięki temu w wieku siedemnastu lat czytałem na przykład dzieła Nietzschego po francusku w pierwszym wydaniu „*Mercur de France*” z 1889 roku, właśnie pożyczonym od tych państwa.

Czyli kiedy Pan Profesor zaczął się uczyć języka francuskiego?

Francuskiego zaczął mnie uczyć ojciec, kiedy miałem pięć lat, ale ani ja, ani on nie mieliśmy cierpliwości; ojcu brakowało zacięcia pedagogicznego, a ja się denerwowałem bardzo, bo nie chciałem się uczyć fonetyki, tylko chciałem się dowiadywać, jak się nazywają konkretne rzeczy, czyli jak się mówi na to czy tamto. W rezultacie nic z tego dalej nie wyszło, a francuski, poza korzystaniem z książeczek dla dzieci, wrócił do mnie dopiero w szkole średniej, gdzie mieliśmy bardzo dobrego nauczyciela tego języka. Można powiedzieć, że moja szkolna francuszczyzna pochodzi ze szkoły średniej i z własnej lektury na przykład przedwojennej *Grammaire Larousse du XX^e siècle* i encyklopedii Larousse’a z 1929 roku, ale była ona wystarczająca, żeby dość swobodnie czytać literaturę. Dobór lektur był właściwie przypadkowy, obok staroświeckich powieści sensacyjnych czytałem na przykład Woltera i powieści Anatole’a France’a czy Rogera Martina du Garda.

Czyli mamy angielski, mamy francuski, w jakich jeszcze językach Pan Profesor czyta i mówi?

Policzmy, po angielsku, po francusku... Włoski, niemiecki, rosyjski to też języki, którymi posługuję się swobodnie. Oprócz tego znam jeszcze kilka innych języków, tylko w znacznie mniejszym stopniu i nazwałbym to raczej znajomością bierną. Potrafię dość swobodnie czytać i rozumieć po hiszpańsku czy po niderlandzku. Jeśli chodzi o arabski, to jest to znajomość właściwa archeologom jeżdżącym do Egiptu, to znaczy pozwalająca na porozumienie się w podstawowych sprawach w języku potocznym. Natomiast języka literackiego to już bym się troszkę obawiał.

Proszę szczerze powiedzieć, jakim Pan Profesor był uczniem w szkole podstawowej i w liceum?

Przede wszystkim byłem uczniem bardzo niesamodzielnym, nieśmiałym i wystraszonego, bo byłem w ogóle przerażony tym, że idę do szkoły, czyli że oddalam się od środowiska domowego. Po drugie należałem do dzieci, które musiały się długo uczyć, jak sobie zawiązać buty i zapinać guziki. Przez pierwsze lata odprowadzano mnie do szkoły, chociaż była bardzo blisko. Na pewno nie należałem do obrotnych, energicznych i przystosowanych uczniów, ale w szkole podstawowej dość szybko przystosowałem się jednak do warunków szkolnych. Dodam, że przyjemnym momentem w szkole była

przerwa, którą ogłaszał woźny potrząsając dzwonkiem z rączką. Wiosną można było wyjść do ogródka, gdzie kwitły tulipany i drzewa owocowe. No i byłem niewątpliwie tak zwanym dobrym uczniem, nawet matematyka w szkole podstawowej w pewnym momencie zaczęła mi sprawiać przyjemność i pamiętam, że kierownik szkoły, który – już po tym panu noszącym binokle – dawno przejął nauczanie matematyki, był bardzo zadowolony z mojego, jak powiedział, powolnego, ale skutecznego sposobu rozwiązywania zadań. Przy czym muszę powiedzieć, że do dziś matematyka oparta na myśleniu abstrakcyjnym jest mi całkowicie obca. Dla mnie liczby wiążą się z konkretnymi przedmiotami i wobec tego wszelkie wycieczki w sferę abstrakcji, poczynając już od funkcji trygonometrycznych, to coś, co przerasta moją wyobraźnię. Na szczęście ówczesny program szkoły podstawowej nie wymagał zbyt wiele i w związku z tym na przykład nieskomplikowane równania przychodziły mi dosyć łatwo. Znacznie mniej sprawnym byłem w dziedzinie tak zwanych robót ręcznych.



Borkowo – na spacerze z seterką Agą, sierpień 1967 r.

Ogólnie rzecz biorąc, uchodziłem zawsze za bardzo dobrego ucznia, także w szkole średniej, gdzie jednak powiedziałbym, że czułem się znacznie mniej swobodnie niż w szkole podstawowej. Kiedy w tej chwili spotykam się z moimi kolegami ze szkoły średniej (jakieś spotkania klasowe odbywają się co pewien czas), to okazuje się, że oni wszyscy mnie pamiętają jako podobno najlepszego ucznia. Natomiast ja sam co do tego miałem poważne wątpliwości i czułem się zawsze niepewnie.

Nauczyciele historii w szkole średniej rzadko poruszali tematy starożytne. Pamiętam wzmiankę pana Tyburczego, entuzjasty drużyny piłkarskiej Stal Rzeszów, o klęsce Wawrusa. Sympatyczna pani Śledziwska mówiła ładnie o historii Polski. Nie mogę nie wspomnieć o pani Annie Sosin ani o nieprzeciętnej postaci nauczycielki matematyki, pani Ireny Kolanowskiej, osoby wszechstronnie wykształconej, której w chwilach swobodniejszych zdarzało się deklamować Homera po grecku.

Przyszła matura, przyszedł czas wyboru studiów. Dlaczego archeologia? I czy od razu archeologia klasyczna?

W szkole nie zastanawiałem się specjalnie nad moją przyszłością zawodową. Żyłem w świecie własnej wyobraźni, bujałem w obłokach i nie zastanawiałem się nad tym, co będę dalej robił. Sugestie ze strony rodziców były takie, żebym wybierał według zainteresowań. Ciocia, siostra mojego ojca mieszkająca w Krakowie, gdzie znalazła się po powstaniu, namawiała mnie, żebym zostałem dziennikarzem. Uważała, że to może być aktywne i interesujące życie. Pewnym elementem orientacyjnym były też przedwojenne studia mojego ojca. Wyobrażałem sobie, że może powinienem studiować handel zagraniczny, co wtedy było popularne ze względu na perspektywę wyjazdów zagranicznych, które w tamtym czasie uchodziły za rodzaj przywileju. Ostatecznie zwyciężyło – i słusznie – przekonanie rodziców i w końcu także moje własne, że najlepiej będzie, jeżeli studia będą służyły pogłębianiu moich zainteresowań.

Dlaczego nie historia, dlaczego nie filologia klasyczna? Może zacznijmy od filologii klasycznej. W szkole nie miałem łaciny. W związku z tym byłbym od początku wśród studentów filologii klasycznej do pewnego stopnia upośledzony. Łaciny trochę uczyłem się sam. Ojciec mi kupił podręcznik i próbowałem niezbyt systematycznie uczyć się łaciny, ale bez myśli o studiach filologicznych, tylko po prostu z ciekawości. Zresztą łacina interesowała mnie wtedy nie tyle jako język starożytnego Rzymu, ile jako język staropolski. To był dla mnie element fascynującej staropolszczyzny. A ta fascynacja zaczęła się oczywiście od lektury Sienkiewicza, zwłaszcza od *Ogniem i mieczem*. Już w wieku ośmiu czy dziesięciu lat skierowało to moje zainteresowania w stronę dawnej Polski.

Filologia klasyczna to także, jak sobie wtedy zdawałem sprawę, w dużej mierze rozmaite *Polonolatina*. Paradoksalnie (wobec moich ówczesnych i późniejszych sentymentów do łaciny i sarmackiej Polski) studiowanie łacińskiej twórczości dawnych polskich autorów niespecjalnie mnie pociągało. Tak samo wszystkie sprawy związane z gramatyką opisową, metryką, stylem, klauzulami i rozmaitymi innymi sprawami formalnymi dotyczącymi utworów literackich. To mnie nie pociągało, ponieważ mnie zawsze interesował fakt, który stoi za źródłem, chociaż jeszcze wtedy tego tak nie potrafiłem nazwać. Ciekawiło mnie to, jak było, a nie formalna analiza tekstu. Natomiast smakowita polska barokowa poezja i proza bardzo mnie zawsze interesowała. Dopiero później poznałem między innymi uroczy łaciński tekst Sarbiewskiego *Liber de*

Urbe et Romanis. Osobną sprawą była pasjonująca mnie etymologia, ale tu już wkraczamy w sferę historii.

Natomiast jeśli chodzi o historię, to wyobrażałem sobie, że jest to bardzo heterogeniczny rodzaj studiów, gdzie historia starożytna jest tylko elementem szerokiego wachlarza różnych dziedzin. Oczywiście wiedziałem, że w perspektywie jest specjalizacja. Ale wiedziałem też, że po drodze trzeba mieć do czynienia z nudną historią gospodarczą, z tendencyjną interpretacją dawnej Polski oraz z nowszą historią, która akurat wtedy była, ujmijmy to łagodnie, trochę upolityczniona.



Wieczorem w domu w Warszawie, 1967 r.

Czy sprawy polityczne odgrywały jakąś rolę? W końcu zaczął Pan studia pod koniec lat sześćdziesiątych, po marcu 1968 roku.

Wiadomo, jak to się zapisało zwłaszcza na kartach historii Uniwersytetu Warszawskiego. Rok 1968 przeżyłem jeszcze w szkole, a wydarzenia lutego i marca interpretowałem sobie jako romantyczny zryw patriotyczny w tradycyjnym stylu. Na takie poglądy ówczes-

na dyrekcja szkoły z pewnością patrzyła bardzo niechętnie, chociaż wielu nauczycieli okazywało wyraźną życzliwość.

Nie mogę przy tej okazji przemilczeć jednego z zapomnianych i niedatowanych śladów opozycyjnego ruchu studenckiego. Otóż na Krakowskim Przedmieściu, na fasadzie pałacu hrabiego Seweryna Uruskiego (Wydział Geografii), pod herbem Sas z dewizą *AGES*, jakaś zapewne studencka ręka napisała białą farbą „ROBTHNICY Z NAMI”. Pominiecie jednego „o” wynikało niewątpliwie z pośpiechu. To *dipinto* wymagało od autora dużej zręczności i braku lęku przestrzeni. Napis ten trwał przez długie lata, nikt go nie zatarł i chyba nie zauważał, przetrwał PRL, aż dopiero około roku chyba 1993 zniknął przy remoncie i czyszczeniu fasady. Tak przepadła autentyczna pamiątka, bardziej wymowna od późniejszych brązowych tablic.

Wpływ okoliczności dziejowych na początek moich studiów to jest sprawa złożona. Kiedy w roku 1969 zdawałem na archeologię śródziemnomorską (wtedy był to osobny kierunek studiów na Wydziale Historycznym), miałem do czynienia ze zjawiskiem trwającej już od dawna niezwyklej popularności tego kierunku studiów. To nie był kierunek egzotyczny lub marginesowy, tylko taki, o którym się mówiło, że trzeba niezwyklego szczęścia, żeby się na te studia dostać. Ten kierunek studiów istniał tylko na Uniwersytecie Warszawskim. Było dziesięć miejsc na pierwszym roku, i to na całą Polskę. W związku z tym tłumy kandydatów, które się zgłaszały na egzamin wstępny, mogły odstraszyć niejednego i ja idąc na ten egzamin miałem poczucie, że mam może trzydzieści procent szans.

Okres pomarcowy przyniósł zmiany w zasadach przyjmowania na studia, mianowicie tak zwane punkty za pochodzenie, których ja nie miałem. Nie miałem też żadnych innych dodatkowych punktów poza punktami za oceny z historii i chyba geografii na maturze, a te oceny akurat miałem bardzo dobre. W końcu mimo braku punktów za pochodzenie osiągnąłem bardzo dobry wynik na egzaminie. Nie pamiętam, ale może nawet był to wynik najlepszy, jeśli pominąć te punkty za pochodzenie „robotniczo-rolnicze”, które niektórzy mieli, a ja nie. W związku z tym dostałem się na te studia, tak bardzo pożądane, chociaż perspektywa tego, co się będzie naprawdę po nich robiło, była dość mglista i nieprecyzyjna. Mam jednak wrażenie, że większość kandydatów na studia nie myślała wtedy bardzo konkretnie o zawodzie, który będą wykonywali. Nie była to sprawa kalkulacji ekonomicznej, przynajmniej w tym środowisku, z którym ja się stykałem, tylko raczej kwestia zainteresowań czy jakiegoś ciekawego przeżycia okresu studiów. Praca jakaś po studiach zawsze była. Niektórzy uważali nawet, że to właściwie wszystko jedno, co się studiuje, bo chodzi o to, żeby mieć dyplom, co już daje pewne dodatkowe szanse przy zatrudnieniu. Przypomnijmy, że studia wyższe nie były wtedy aż tak masowym zjawiskiem jak obecnie. Oczywiście niektóre zawody były bardziej, inne mniej intratne. Jednak wtedy mniej o tym chyba myślano niż o perspektywie tak zwanej ciekawej pracy.

Dziesięć miejsc na cały kraj na pierwszym roku archeologii śródziemnomorskiej oblegał tłum kandydatów. Wobec nadmiernego z pozoru zainteresowania tym kierunkiem niezycząca już pani docent z czołowej kadry ówczesnej Katedry Archeologii Śródziemnomorskiej napisała artykuł, który wiosną 1969 roku ukazał się na pierwszej stronie „Sztandaru Młodych”. Tekst był zatytułowany *Owczy pęd na archeologię*. Paradoksalnie, to przedstawicielka archeologii śródziemnomorskiej odradzała kierowanie się tym „owczym pędem” w stronę archeologii. Miała z pewnością dobre intencje i w duchu tak zwanego

zdrowego rozsądku przypominała, że możliwości zatrudnienia po tej elitarniej archeologii są dość ograniczone.

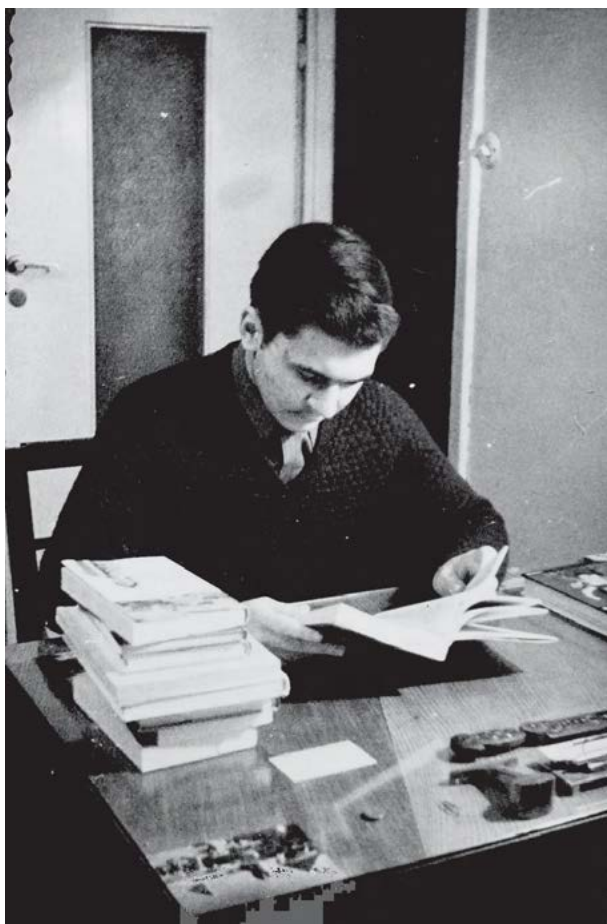
Trzeba przypomnieć, że inaczej niż obecnie, były wtedy na UW dwa kierunki studiów: archeologia śródziemnomorska oraz archeologia pradziejowa i wczesnośredniowieczna, które współistniały, ale nie była to bardzo ścisła koegzystencja, a zwłaszcza nie była to kohabitacja. Katedra Archeologii Śródziemnomorskiej kierowana przez profesora Kazimierza Michałowskiego mieściła się przy Krakowskim Przedmieściu 1, na pierwszym piętrze. Wyżej w tym budynku była filologia klasyczna i tam pozostała, natomiast archeologii już tam nie ma. Katedra Archeologii Pradziejowej i Wczesnośredniowiecznej miała siedzibę przy ulicy Widok 10. Zajęcia odbywały się w obszernym dawnym mieszkaniu, w kamienicy pochodzącej jeszcze sprzed I wojny światowej. Uczęszczałem tam na niektóre zajęcia, w tym na pierwszym roku na obowiązkowy wykład profesora Jerzego Gąssowskiego, wtedy jeszcze doktora, wybitnego przedstawiciela tak zwanej archeologii powszechnej. Był to jeden z najlepszych wykładów uniwersyteckich, z jakimi miałem do czynienia. Wykład nie był ilustrowany przezroczami (dzisiaj mówi się już tylko „slajdami”). Natomiast profesor Michałowski chętnie używał do zilustrowania wykładu kolorowych slajdów.

Mój wybór studiów był podyktowany elementami działającymi na wyobraźnię i ogólnym zainteresowaniem starożytnością. Jest jeszcze jedna rzecz, która tłumaczy, dlaczego nie wybrałem historii lub filologii klasycznej. Otóż interesowałem się w sposób bardzo wyraźny starożytnym Egiptem, co ukierunkowywało moje zainteresowania nie w stronę archeologii klasycznej tradycyjnego typu, tylko raczej w stronę archeologii Egiptu. Kierunek egiptologia istniał na Uniwersytecie Warszawskim jako część filologii orientalnej, ale nabór na te studia nie odbywał się corocznie, przyjmowano kilka osób, a same studia były zorientowane na wiedzę o języku i literaturze, a nie na wykopaliska w Egipcie. O hieroglifach nie miałem wtedy większego pojęcia, a zresztą nie chodziło mi o to, żeby zostać filologiem-egiptologiem, tylko badaczem przeszłości Egiptu na podstawie zabytków kultury materialnej oraz dzieł sztuki, a przede wszystkim dowiedzieć się czegoś więcej o tej fascynującej cywilizacji.

Niewątpliwie osoba profesora Kazimierza Michałowskiego, która wtedy była powszechnie znana i popularyzowana przez prasę, a także radio i telewizję, odgrywała rolę magnesu, nie tylko dla mnie. Prawie każdy numer popołudniówki „Express Wieczorny” przynosił jakąś notatkę o sensacyjnych odkryciach polskich archeologów w Egipcie. Wszyscy czytali o wykopaliskach i zainteresowanie, a także prestiż tych odkryć był, podejrzewam, nawet większy niż obecnie, kiedy takie wiadomości toną w masie innych informacji. Myślę, że to jest odpowiedź na pytanie, dlaczego wybrałem archeologię śródziemnomorską.

Kilkakrotnie padło nazwisko profesora Kazimierza Michałowskiego, który jest nazywany mistrzem polskich archeologów. W obecnych czasach relacja pomiędzy mistrzem a uczniem zanika, a przynajmniej ulega rozproszeniu czy pewnemu rozmyciu. Jak to wyglądało w czasach Pana Profesora? Kogo zaliczyłby Pan do swoich mistrzów? Jakie to były relacje? Jacy badacze wywarli na Pana formacyjny wpływ?

Poruszyli panowie bardzo istotną sprawę. Jest to pytanie, które wymaga nieco dłuższej wypowiedzi. W ostatnich dziesięcioleciach nastąpiła niewątpliwie wyraźna zmiana w społecznym odczuciu prestiżu profesora. W latach sześćdziesiątych zeszłego wieku w Polsce



Przy biurku w domu, 1968 r.

sondaże opinii publicznej nadal umieszczały profesora uniwersytetu na szczycie hierarchii społecznej. Później, jeśli się nie mylę, zastąpił go w tej roli tak zwany biznesmen. Rozmnożyły się wyższe uczelnie, studenci, a także profesorowie. Przedwojenni studenci opowiadający o ówczesnym niekwestionowanym i niepodlegającym tak zwanej „ewaluacji” autorytetowi profesora przekazali obraz uczonego, który był właściwie objęty swoistym immunitetem, otoczony szacunkiem i miał swobodę kształtowania swojej działalności dydaktycznej. Profesor Michałowski („mistrz, oby żył wiecznie!”) był częścią tego dawnego świata, co w nas budziło dodatkową fascynację. Kontakt z prawdziwym przedwojennym profesorem, a zarazem uczonym światowej sławy w przypadku profesora Michałowskiego nie był aż tak bezpośredni, jakby można było sobie życzyć. Byłem bardzo szczęśliwy, że mogę studiować w grupie tych dziesięciu czy później nawet dwunastu osób, które były studentami jego katedry pod jego bezpośrednim lub pośrednim kierownictwem.

Pamiętam zebranie pierwszego roku z udziałem profesora, który przyszedł (w kłapie miał rozetkę Legii Honorowej i wstążkę Virtuti Militari) i powiedział, że trzeba myśleć

realistycznie o perspektywach zatrudnienia po studiach, że z tych osób, które tutaj siedzą przy stole, może jedna będzie pracowała w zawodzie, a pozostałe muszą myśleć o innych profesjach. Pochwalił profesję dziennikarską oraz inne zawody, w których przyda się ewentualnie znajomość języków nabywana w czasie tych studiów poprzez trzy obowiązkowe lektoraty nowożytnie oraz lektoraty łaciny i greki. I to naprawdę było bardzo dobre. W ogóle to był bardzo dobry program, który do trzeciego roku włącznie był jednakowy dla wszystkich słuchaczy. Kończył się ogólnym egzaminem z archeologii śródziemnomorskiej u profesora Michałowskiego. W związku z tym wszyscy, niezależnie od zainteresowań, musieli przejść przez łacinę i grekę, przez sztukę starożytnego Wschodu czy archeologię starożytnego Wschodu na roku pierwszym, archeologię Grecji na drugim, archeologię Rzymu na trzecim roku.

Do tego były też prowadzone w Instytucie Historycznym zajęcia z historii starożytnej, a także odbywające się w różnych miejscach zajęcia z przedmiotów ogólnych, to znaczy z logiki, a potem z ekonomii politycznej, ale te ostatnie dopiero na trzecim roku. Odbywały się też zajęcia z filozofii. Otrzymywaliśmy dosyć dużą porcję wykształcenia o charakterze ogólnym i myślę, że to było bardzo dobre, plus lektoraty, o których wspominałem.

Duże wrażenie wywarło na mnie na pierwszym roku stwierdzenie wykładowcy logiki, profesora Jerzego Pelca, że taki „humanista”, który nie zna łaciny i greki, tylko wyobraża sobie, że jest humanistą. (Nie mogę w tym miejscu nie wspomnieć z wdzięcznością naszej znakomitej lektorki łaciny, pani Bronisławy Kurzyniny).

Dopiero po zdaniu ogólnego egzaminu, który mniej więcej odpowiadał dzisiejszemu egzaminowi licencjackiemu, następowała specjalizacja i pisanie pracy magisterskiej, na co były dwa lata ze zmniejszoną ilością zajęć. Trzeba tu powiedzieć, że studenci archeologii nie byli przeciążeni liczbą godzin dydaktycznych. Najwięcej zajęć, w sensie liczby godzin, było na trzecim roku. Natomiast na pierwszym i drugim było dość dużo wolnego czasu.

Podobnie było w latach magisterskich, na czwartym, piątym roku studiów⁴. Uważam, że to było bardzo dobre, ponieważ kształcenie akademickie polega w ogromnej części na własnej pracy studenta, który musi mieć na to czas. Skracanie wakacji, a także redukcja przerwy międzysemestralnej do bardzo krótkiego okresu zmniejsza ten cenny margines czasowy, który student może przeznaczyć nie tylko na odpoczynek, ale też na pracę własną. Byłem zachwycony, że studiowałem, bo po okresie pewnej dyscypliny szkolnej wydawało mi się, że na studiach panuje ogromna swoboda, i to było ważne, ponieważ wykorzystywałem ten czas na lektury, na uczenie się różnych rzeczy, chociaż nie byłem typem prymusa, bo czasami moja uwaga nie wytrzymywała zadań, które sobie narzucałem, i się rozpraszała. Zajmowałem się na przykład lekturami, które zupełnie nie były związane z przedmiotem studiów. Wtedy rozwinęły się różne inne zainteresowania, na przykład historią Polski, skupiające się głównie na XVII i XVIII wieku. W tej dziedzinie sporo czytałem właśnie w okresie studiów. Zainteresowanie filozofią było dosyć selektywne, bo

⁴ Zob. id., *I Zjazd Absolwentów Archeologii Uniwersytetu Warszawskiego*, [w:] *Antyk, antyk! Kulturowa tradycja antyku od epoki baroku do postmodernizmu. 90 lat archeologii na Uniwersytecie Warszawskim. I Zjazd Absolwentów Archeologii Uniwersytetu Warszawskiego*, oprac. H. Kowalski et al., Stowarzyszenie Studentów i Absolwentów Instytutu Archeologii UW ARCHEO, Warszawa 2010 (*Zeszyty Archeologiczne i Humanistyczne Warszawskie 2*), s. 181–188.



Pierwszy rok studiów, zima 1969/1970. W 1968 r. spontanicznie wróciły na pewien czas czapki studenckie. Kupowano je sobie w sklepach czapników. Na UW były to czapki przedwojennej Bratniej Pomocy, białe rogiatki z wąskim czerwonym otokiem i sznureczkiem – złotym dla wydziałów humanistycznych

tylko niektórych filozofów chętnie czytałem: Heraklita, innych greckich filozofów przed-sokratejskich, Sokratesa w przekazie Platona, Marka Aureliusza, a z nowszych Nietzschego, Schopenhauera, Freuda. Staroegipska literatura sapiencjalna, podobnie jak niektóre ustępy Biblii, dawały mi zawsze do myślenia. Pociągały mnie aforyzmy, na przykład Hippokratesa, Oscara Wilde'a czy Marka Twaina. Z twórczości Leszka Kołakowskiego lubiłem tylko *Klucz niebieski*. O moich upodobaniach literackich na styku ze starożytnością i filozofią może coś powiem przy innej okazji.

Chciałbym jeszcze wrócić do poprzedniego pytania. Mam na myśli przyczyny wyboru tego, a nie innego kierunku studiów. To były bodźce płynące czasami z przypadkowych epizodów. Pamiętam, że kiedy miałem trzynaście lat, a więc jeszcze w szkole podstawowej, oglądałem taką serię wystąpień profesora Kazimierza Kumanieckiego, którego na ogół w telewizji nie można było zobaczyć. Była to seria, nigdy później nie powtórzona, jego popularyzatorskich wypowiedzi na temat filozofii starożytnej. Cykl miał dosyć charakterystyczny tytuł *Szlakiem myśli racjonalistycznej*. Oczywiście ta „myśl racjonalistyczna” była tam prawdopodobnie tylko ze względów poprawnościowych, żeby nie było, że on propaguje starożytny idealizm. Ale mówił dużo o Arystotelesie. Omawiał wielu filozofów

greckich, mówił na przykład o jońskiej filozofii przyrody, ale także o Platonie. Było to po prostu fascynujące i bardzo pobudzało moją wyobraźnię. Muszę jednak przyznać, że nie przechyliło szali na stronę klasyki do tego stopnia, żebym zapomniał o Egipcie, który tak bardzo chciałem poznać. Pamiętam również, że historyk sztuki profesor Jan Białostocki miał bardzo ciekawe prelekcje w telewizji, które były dość powszechnie oglądane, i wydaje mi się, że to wszystko jakoś się przyczyniało w okresie szkolnym do uformowania moich zainteresowań.

A teraz jeszcze wracając do okresu pomarcowego, do pewnych okoliczności, które jakoś determinowały życie studenckie, to poza dyskryminacyjnymi punktami za pochodzenie przy egzaminie wstępnym były też tak zwane praktyki robotnicze i inne niedogodności pomyślane jako represje wobec krnąbrnych studentów. Trochę wpłynęło to również na program studiów, bo pojawiły się takie przedmioty, jak na przykład ustrój PRL czy ekonomia polityczna socjalizmu. Była też ekonomia polityczna kapitalizmu, to był jeden semestr, a drugi to była właśnie ekonomia polityczna socjalizmu, traktowana przez nas z dystansem, ale prawdę mówiąc nie ciążyło to szczególnie na naszym odbiorze studiów. Było też zjawisko, które odgrywało rolę zdecydowanie pozytywną. Miałem wrażenie, że istniała w tamtym okresie wyraźna solidarność większości pracowników naukowych, personelu dydaktycznego, ze studentami, to znaczy jakieś dyskretne porozumienie, które sprawiało, że nie było ani uciążliwej indoktrynacji, ani ciężkiej atmosfery. Tak było przynajmniej w Katedrze Archeologii Śródziemnomorskiej, bo głównie do niej ograniczają się moje doświadczenia. Panowała przyjazna atmosfera i dobry kontakt między pracownikami naukowymi a studentami.

Studia archeologiczne to także praktyki w terenie. Moi koledzy i ja wolelibyśmy te praktyki odbywać w warunkach śródziemnomorskich, ale wówczas było to niemożliwe dla studentów. Dlatego moje pierwsze wykopaliska to były wykopaliska w Olszaniczy pod Krakowem. Warto na przekór pospolitym stereotypom podkreślić, że w roku 1971 były to wykopaliska polsko-amerykańskie Zakładu Archeologii Małopolski i Uniwersytetu w Berkeley. Następne były prace archeologiczne poprzedzające odbudowę Zamku Królewskiego w Warszawie. Materialnym śladem mojego udziału jest znaczna ilość zrekonstruowanej ceramiki, w tym piękne talerze z saskiej porcelany (prawdopodobnie z zastawy królewskiej), które własnoręcznie skleiliśmy z kawałków.

Wracając do sprawy kontaktu między mistrzem a uczniem.

Nietzsche napisał: „zła to zapłata mistrzowi swemu, jeśli się zostaje zawsze jego uczniem”. Mistrzowi należy się jednak pamięć i szacunek. Można wymienić szereg osób, które w trakcie studiów miały na mnie poważny wpływ. Z profesorem Michałowskim kontakt nie był ani bardzo bezpośredni, ani bardzo częsty. Profesor prowadził wykład z archeologii starożytnego Wschodu na pierwszym roku, ale często zastępowały go inne osoby (wówczas na przykład pani Maria Krogulska), ponieważ wyjeżdżał. Semestry zimowe to był czas jego pracy w Egipcie, w Syrii i w innych rejonach śródziemnomorskiego Wschodu, potem często wyjeżdżał z wykładami za granicę czy na konferencje. Wobec tego często był zastępowany przez pracowników pomocniczych. Dystansowi sprzyjał pewien rodzaj atmosfery dworskiej. O profesorze, jak wspominałem, mówiło się niemal serio: „mistrz, oby żył wiecznie!”. Mistrz jednak w bezpośrednim kontakcie bywał ujmująco życzliwy i uprzejmy.



Wykopalka na neolitycznym stanowisku w Olszanicy pod Krakowie, lato 1971 r.

Oprócz programu archeologii śródziemnomorskiej dodatkowo chodziłem na zajęcia innego rodzaju, na przykład na lektorat koptyjski, egiptologię, a potem zostałem seminarzystą profesora Kazimierza Kumanieckiego. I to było bardzo cenne, bo miałem kontakt z wielkim filologiem i tym samym można powiedzieć, że spełniała się ta druga część moich marzeń czy zainteresowań starożytnych, a mianowicie filologia klasyczna. Oczywiście nie odebrałem pełnego wykształcenia jako filolog klasyczny, chodziłem tylko na niektóre zajęcia, ale bardzo wiele zyskałem na tym, że uczestniczyłem w seminariach profesora Kumanieckiego. Pamiętam bardzo dobrze pewien moment. Seminarium było łacińskie, czytaliśmy *De oratore* Cycerona, bardzo trudny dialog, który profesor Kumaniecki właśnie wydał u Teubnera. Dla większości słuchaczy komentarz szczegółowy był bardzo trudnym zadaniem. Pamiętam, że kiedyś miałem referować jakiś *passus* z tego tekstu i profesor powiedział do mnie:

– Niech pan to przetłumaczy na grekę, to będzie panu łatwiej.

Profesor wiedział, że chodzę na seminarium Anny Świderkówny i zajmuję się też papirologią, więc uważał, że ja mogę ot tak przetłumaczyć Cycerona z łaciny na grekę. Komplement, jakiego się doczekałem od profesora Kumanieckiego na koniec tego referatu, brzmiał:

– Jak na archeologa to całkiem niezłe.

Padło drugie niezwykle ważne nazwisko – profesor Anny Świderkówny – i termin, z którym Pan Profesor jest bardzo często kojarzony: papirologia. Skąd to się wzięło?

To się zaczęło dosyć późno, mianowicie w okresie magisterskim, może przedmagisterskim. Katedra Papirologii istniała jako jednostka na Wydziale Historycznym UW, ale

nie miała dydaktyki. Co prawda tam właśnie doktor Marta Piątkowska uczyła greki mnie i innych studentów archeologii. Było seminarium, ale nie można tam było pisać prac magisterskich. Można było to seminarium sobie wziąć jako poboczne i w takim właśnie charakterze sobie je wybrałem, ponieważ mniej więcej pod koniec trzeciego roku skryształizowały się ostatecznie moje zainteresowania na zasadzie kompromisu między egiptologią, czy raczej badaniem starożytnego Egiptu, a klasyką, która mnie od drugiego roku zaczęła pociągać coraz bardziej. Rosła moja fascynacja łaciną i greką, zacząłem z przyjemnością czytać, z początku w przekładach, prozę i lirykę grecką. Pomyślałem sobie, że kompromisowym polem działania jest Egipt grecko-rzymski, i dlatego zdecydowałem się na seminarium papirologiczne jako poboczne.

Przyszedłem z tym do Katedry Papirologii w lutym 1973 roku i tam dowiedziałem się, że seminarium niedługo się rozpocznie. Profesor Świderkówna pytała nas na początku, czego byśmy się chcieli dowiedzieć. Seminarzystów było niewielu. Na tym seminarium poznałem między innymi egiptologa Jana Krzysztofa Winnickiego (wtedy doktoranta profesor Świderkówny), Małgorzatę Borowską, Małgorzatę Wysocką (później Wysocką-Mielczarską), Helenę Cichocką i inne osoby. Wtedy na to pytanie profesor Świderkówny odpowiedziałem, że chciałbym się dowiedzieć czegoś o historii hellenizmu. Myślę, że to była odpowiedź, jakiej oczekiwała pani profesor, ponieważ wówczas, już po wydaniu *Hellady królów* i po przetłumaczeniu *Dziejów Grecji* Hammonda, pracowała nad książką pod tytułem *Hellenika. Wizerunek epoki od Aleksandra do Augusta*. Profesor Świderkówna powoli odchodziła od papirologii dokumentarnej w stronę historii i kultury świata hellenistycznego⁵.

Oprócz profesor Świderkówny był tam także doktor Zbigniew Borkowski, który zrobił pod jej kierunkiem doktorat z papirologii, ale był też archeologiem śródziemnomorskim, współpracował z profesorem Michałowskim, jeździł do Egiptu, uczestniczył w badaniach typowo archeologicznych w Egipcie i w Sudanie, a jeszcze wcześniej studiował dziennikarstwo. Była to postać nieprzeciętna. Zaliczam go bez wahania do moich mistrzów. Chyba wtedy zapadła decyzja, że seminarium powinno mieć jednak charakter czysto papirologiczny. Nie były to więc wykłady profesor Świderkówny z hellenizmu, tylko praktyczna nauka czytania papirusów pod kierunkiem Zbigniewa Borkowskiego. Pamiętam, że po pierwszym takim seminarium, polegającym na czytaniu papirusów z oryginału, przyszedłem do domu i powiedziałem rodzicom, że nareszcie zaczynam się uczyć czegoś konkretnego, ponieważ zacząłem odróżniać litery. Kursywa jest bardzo odmienna od pisma greckiego, jakie się zna wtedy, kiedy się nie ma do czynienia z rękopisami starożytnymi. To mnie naprawdę zafascynowało, a później, jak się okazało, zyskałem też bardzo pozytywną ocenę doktora Borkowskiego. Wiele lat później profesor Świderkówna powiedziała mi, że doktor Borkowski przyszedł do niej kiedyś z oznajmieniem:

– On jest lepszy, niż ja byłem w jego wieku.

⁵ A. Łukaszewicz, *Mowa laudacyjna na wręczenie Annie Świderkównie Nagrody Polskiego PEN-Clubu 5 marca 2007 roku*, [w:] Anna Świderkówna. *Z Aten do Jerozolimy – wspomnienia przyjaciół*, oprac. H. J. Broniec, Tyniec – Wydawnictwo Benedyktynów, Kraków 2013, s. 69–74; id., *Wspomnienie ucznia. Anna Świderkówna, uczona i pisarka na tle swoich czasów*, [w:] A. Świderkówna, *Rozmowy o Biblii. Nowy Testament*, wyd. V, PWN, Warszawa 2018, s. 347–362.

I to oczywiście zdecydowało w jakimś sensie o moich dalszych losach, które wiązały mnie z Katedrą, a później Zakładem Papirologii.

Nie znaczy to, że przestałem ulegać wpływow rozmaitych innych mistrzów, bo zacząłem na przykład uczęszczać na seminarium profesor Izy Biezuńskiej i tam nauczyłem się bardzo wiele. Trwało to właściwie aż do jej śmierci w 1995 roku. Na początku byłem na seminarium magisterskim, później na seminarium doktoranckim, jeszcze później to seminarium przekształciło się w Zespół Historii Starożytnej, a ja już byłem profesorem uniwersyteckim i ciągle w nim uczestniczyłem. To było miejsce, które pozwoliło mi zrealizować jeszcze jeden aspekt moich zainteresowań.

Dodam jeszcze, że niemało zawdzięczam kontaktom z historykiem doktorem Janem Trynkowskim. Myślę, że gdybym w tej chwili miał siebie określić i zdefiniować w jednoznaczny sposób swoją działalność naukową, to znaczy nie mówić, że jestem tym i tym, i jeszcze tym, ale określić to jednym terminem, to jednak powiedziałbym, że jestem historykiem starożytności. To chyba jest najbliższe temu, co robię. Oczywiście byli jeszcze inni mistrzowie, nie mogę zapomnieć ani profesor Zofii Sztetyłowej, ani profesor Anny Sadurskiej, której seminarzystą też byłem i która proponowała mi studia doktoranckie pod swoim kierunkiem.

Moment decyzyjny, który był bardzo trudny, nastąpił w chwili ukończenia studiów, kiedy miałem do wyboru propozycję profesor Świderkówny stażu asystenckiego w Katedrze Papirologii, studia doktoranckie pod kierunkiem profesor Sadurskiej, ale także dwie inne propozycje, jedną mało konkretną, ale stwarzającą perspektywę pracy w Muzeum Narodowym i jeszcze jedną bardzo konkretną, mianowicie stały etat w filii białostockiej Uniwersytetu Warszawskiego. Z tej ostatniej propozycji musiałem po wahaniach zrezygnować, ponieważ oznaczało to w praktyce, że będę robił doktorat pod kierunkiem profesor Świderkówny w Warszawie, a do pracy jeździł do Białegostoku, czyli będę wstawał o godzinie 4 rano, a tam nie będę miał żadnego miejsca, gdzie mógłbym mieszkać. To chyba by nie mogło dobrze funkcjonować i dlatego zrezygnowałem. Chociaż przyznaję, były też powody, które przemawiały za przyjęciem tej propozycji. W praktyce musiałem jednak wybrać między profesor Sadurską a profesor Świderkówną.

Zatrzymajmy się jeszcze, jeżeli można, i uporządkujmy pewne rzeczy: seminarium magisterskie odbył Pan Profesor u profesora Kumanieckiego?

Nie, to było seminarium najzupełniej nadprogramowe. Nie byłem formalnie studentem filologii klasycznej, tylko archeologii śródziemnomorskiej. Magisterium było z archeologii śródziemnomorskiej.

Jaki był temat Pańskiej pracy magisterskiej i kto był jej promotorem?

Już wyjaśniam. Promotorem miał być w zasadzie profesor Michałowski, ale właśnie wtedy przeszedł na emeryturę. Nie wykluczało to opieki nad pracami magisterskimi, ale on przekazał wszystkie zadania uniwersyteckie swoim współpracownikom pozostającym w katedrze. Profesor Michałowski przeniósł się do Muzeum Narodowego, gdzie zachował stanowisko pierwszego wicedyrektora. Poza tym był nadal kierownikiem Zakładu Archeologii Śródziemnomorskiej Polskiej Akademii Nauk. Prace magisterskie, które miały być pisane pod jego kierunkiem, były odtąd prowadzone zależnie od tematu albo przez docent (potem profesor) Jadwigę Lipińską, o ile dotyczyło to Egiptu, albo tak jak moja praca magisterska, która miała dotyczyć ikonografii faraskiej, a więc malarstwa nubijskiego,



Na tle Zamku Królewskiego w trakcie odbudowy, 1973 r. W r. 1972 student archeologii śródziemnomorskiej Adam Łukaszewicz pracował przy tej odbudowie na wykopaliskach i w archeologicznej pracowni konserwatorskiej

przez docent Jadwigę Kubińską. To ona była opiekunką mojej pracy magisterskiej, niejako w zastępstwie profesora Michałowskiego, który rozdzielił te tematy.

Czyli nie było dobrowolności w wyborze tematyki pracy magisterskiej? Profesor Michałowski decydował o tym, kto pisze o czym?

To niezupełnie tak, dlatego że przecież magistrant sam wybierał sobie seminarium magisterskie (mógł także wybrać na przykład profesora Kazimierza Majewskiego, docent Ludwikę Press, profesor Sadurską albo docent Szetyłową), poza tym mógł z promotorem dyskutować o zakresie pracy. Jaki był procent skuteczności? Tego nie wiem, ja w każdym razie nie oponowałem. Wtedy nie było we zwyczaju, żeby magistrant czy doktorant sam sobie wymyślał temat pracy. To były czasy wielkiej fascynacji wspaniałym odkryciem katedry w nubijskim Faras, więc możliwość robienia czegoś tak rewelacyjnego jak opracowywanie malowideł, a w moim przypadku także inskrypcji faraskich, to był pewien przywilej. Ja zresztą z profesorem Michałowskim nie miałem okazji na ten temat dyskutować, bo, jak wspominałem, profesor właśnie przeszedł na emeryturę (tylko na UW) i mogłem się jedynie dowiedzieć, że jego tematy zostały przekazane takim, a nie innym osobom. Miałem się zajmować ikonografią, ale tam były także teksty greckie i koptyjskie – w ramach mojego kompromisu między egiptologią a archeologią klasyczną uważałem, że to jest właśnie temat, którym mogę się skutecznie zająć.

W związku z tym nie było z tym żadnego problemu, poza pewnymi trudnościami z dotarciem do literatury. Tu muszę powiedzieć, że docent Jadwiga Kubińska była osobą

bardzo życzliwą i pomocną, a profesor Michałowski udostępniał nam oczywiście wspólną bibliotekę w Podkowie Leśnej. Tam się jeździło kolejką, którą ja jeszcze nazywałem EKD, tak jak w moim dzieciństwie, Elektryczna Kolej Dojazdowa. Dzisiaj ona się nazywa WKD, Warszawska Kolej Dojazdowa, ale dla mnie to była jeszcze kolejka EKD i tą kolejką, która wtedy składała się z granatowo-żółtych wagonów z 1927 roku, jeździło się do Podkowy Leśnej. Ze stacji maszerowało się do willi profesora Michałowskiego i tam korzystało z naprawę znakomitej biblioteki. Cerberem tego miejsca był Pim, pies profesora, którego jego pan uważał za istotę łagodną, ale niektórzy odwiedzający odczuwali niemałe przerażenie na jego groźny widok. Teraz biblioteka z Podkowy jest włączona do zbiorów Instytutu Kultur Śródziemnomorskich i Orientalnych Polskiej Akademii Nauk.

Tak czy inaczej, bez wyjeżdżania za granicę – to jest ten aspekt, który też warto podkreślić – udało się napisać pracę magisterską, która zyskała sobie bardzo pozytywną ocenę. W rezultacie trochę przed terminem, w maju, w granicach czasowych umożliwiających wystąpienie o staż asystencki dla mnie, ukończyłem tę pracę i dostałem dyplom z wyróżnieniem.

1 października 1974 roku podjąłem pracę w Katedrze Papirologii, gdzie pracuję do tej pory – od pięćdziesięciu lat. Obecna nazwa brzmi Katedra Epigrafiki i Papirologii. Natomiast jeśli chodzi o kontakty z mistrzem, to znaczy z profesorem Michałowskim, były one zawsze bardzo sympatyczne, chociaż niebliskie, bo dystans zawsze był i zachowywałem postawę ucznia pełnego respektu. Kiedy profesor wysyłał mnie pierwszy raz do Egiptu, powiedział:

– Papiirusów w Aleksandrii jeszcze nie znaleźliśmy, ale może panu się uda.

Liczę nadal, że przepowiednia profesora kiedyś się spełni, chociaż w Aleksandrii zasolenie gruntu i wilgoć temu nie sprzyjają. Na razie mamy bardzo interesujące inskrypcje i teksty na ostrakach.

Argumentum

Adamus Łukaszewicz, professor Universitatis Varsoviensis in studio monumentorum antiquitatis egregie versatus, praecipue autem rerum gestarum Aegypti nec non scientiae papyrorum scrutandarum peritus, in colloquio cum Andrea Gillmeister et Hadriano Szopa habito de sua vita studiisque narrat.

Bibliografia

- Łukaszewicz, A., *I Zjazd Absolwentów Archeologii Uniwersytetu Warszawskiego*, [w:] *Antyk, antyk! Kulturowa tradycja antyku od epoki baroku do postmodernizmu. 90 lat archeologii na Uniwersytecie Warszawskim. I Zjazd Absolwentów Archeologii Uniwersytetu Warszawskiego*, oprac. H. Kowalski et al., Stowarzyszenie Studentów i Absolwentów Instytutu Archeologii UW ARCHEO, Warszawa 2010 (*Zeszyty Archeologiczne i Humanistyczne Warszawskie 2*), s. 181–188
- Łukaszewicz, A., *Mowa laudacyjna na wręczenie Annie Świderkównie Nagrody Polskiego PEN-Clubu 5 marca 2007 roku*, [w:] *Anna Świderkówna. Z Aten do Jerozolimy* –

- wspomnienia przyjaciół*, oprac. H. J. Broniec, Tyniec – Wydawnictwo Benedyktynów, Kraków 2013, s. 69–74
- Łukaszewicz, A., *The Last Days of Pompei in a Forgotten Novel by Władysław Zambrycki*, [w:] *Studies on Disasters, Catastrophes and the Ends of the World*, oprac. J. Popielska-Grzybowska, J. Iwaszczuk, Pułtusk Academy of Humanities, Pułtusk 2013 (Acta Archaeologica Pultuskiensia 4), s. 185–189
- Łukaszewicz, A., *Vitalis the Fox. Remarks on the Early Reading Experience of a Future Historian of Antiquity in Poland (1950s–1960s)*, [w:] *Our Mythical Childhood... The Classics and Literature for Children and Young Adults*, oprac. K. Marciniak, Brill, Leiden – Boston 2016, s. 201–207
- Łukaszewicz, A., *O Faraonie Bolesława Prusa – starożytny Egipt i kontekst polski*, *Pamiętnik Literacki* 108, 2017, nr 2, s. 27–53
- Łukaszewicz, A., *Spojrzenie na starożytny Egipt z XIX-wiecznej Warszawy. Na marginesie nowego wydania Faraona Bolesława Prusa*, *Meander* 72, 2017, s. 67–99
- Łukaszewicz, A., *Wspomnienie ucznia. Anna Świderkówna, uczona i pisarka na tle swoich czasów*, [w:] *A. Świderkówna, Rozmowy o Biblii. Nowy Testament*, wyd. V, PWN, Warszawa 2018, s. 347–362